NUMER 5. DNIA 31. STYCZNIA 1904 ROKU. ROK XII.

# TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## CIERNISTA PRACA.

Trudno rzeczywiście znaleźć w literaturze naukowej współczesnej zamknięcie dzieła bardziej wymowne i powiedzmy odrazu, bardziej smutne, jak ostatnie karty dopiero co ukończonego czterotomowego dzieła p. t. „Encyklopedja staropolska“ (Warszawa 1903), wydanego przez p. Zygmunta Glogera. Jestto „zdanie sprawy z całego ciągu pracy i wydawnictwa“, napisane przez autora księgi, ważnej bardzo dla wszystkich miłośników naszej przeszłości, a ciekawej między innemi i pod tym względem, że tak olbrzymiej, mrówczej pracy podjął się jeden tylko człowiek i doprowadził ją, mimo niesłychanych trudności, szczęśliwie do końca.

Posłuchajmy przynajmniej w streszczeniu tego, co mówi p. Gloger w rzeczonem sprawozdaniu: „Praca nad „Encyklopedją staropolską“ rozpoczęła się przed laty trzydziestu, a wynikła z przekonania ogólnego o potrzebie słownika starożytności, ilustrowanego i niezaprzątniętego przeważnie geografją, jak „Starożytności polskie“ Jędrzeja Moraczewskiego. Po trzydziestu przeto latach gromadzenia szczegółów przeszłości dziejowej kraju i narodu, musiałem — powiada autor — przystąpić jednocześnie do opracowania tekstu i rozpoczęcia druku Encyklopedji staropolskiej. Kto u nas nie wydawał żadnej encyklopedji, ten nie może mieć pojęcia o niezliczonych kłopotach wydawniczych. Nie mając czasu, ani upodobania do zostania wydawcą, szukałem najpierw nakładcy, ale nigdzie go znaleźć nie mogłem. Księgarze lękają się większych wydawnictw i w każdym razie, aby obliczyć ściśle koszt nakładu, potrzebują naprzód mieć rękopism ukończony i ocenzurowany, a nie stosy pudeł z tysiącami notatek i wypisów, z których dopiero trzeba tekst redagować i arkuszami druku do cenzury przedstawiać. Mimo nieznalezienia nakładcy rozpocząłem zabiegi o współpracowników, ale i tu ze skutkiem nie wiele lepszym. Wiadomo bowiem, jak mało ludzi pracuje dziś naukowo nad przeszłością naszej kultury i jak są zarzuceni zajęciami swych obowiązków. To zmusiło mnie utworzyć sposobem najpraktyczniejszym komitet redakcyjny „z jednego“ i temu tylko zawdzięczam, że Encyklopedję niniejszą kończę bez przerw i dziś, a nie za lat kilka. Przywykły w całem życiu łamać się z trudnościami, zdołałem je pokonać, lubo w takich warunkach rzeczy doskonałych się nie stwarza“. Wydawnictwo rozłożone początkowo na trzy tomy, wzrosło dzięki pomocy Kasy im. Mianowskiego do tomów czteru, podczas gdy autor posiadał materjał na kilkanaście tomów, a z 1600 posiadanych rycin mógł zamieścić w dziele ledwie połowę.. Mimo to Encyklopedja zawiera blisko 3000 artykułów, a autor, tłumacząc przepracowaniem swojem brak indeksu powiada, że przez 4 lata druku, nie miał nawet ani tygodnia wytchnienia i wyjazdu na wieś w porze letniej, a dodać szczerze należy i wobec tego, że wpływ z prenumeraty, łącznie z pomocą wydawniczą Kasy im. Mianowskiego, do chwili ukończenia druku, pokrył tylko połowę ogólnych kosztów wydawnictwa.

„Przez cztery lata druku czteru tomów Encyklopedji, otrzymywała redakcja nasza (t. j. p. Gloger) corocznie przeszło 1200 listów z kraju i świata, bądź z żądaniem wyjaśnienia różnych kwestji dzie-

jowych, archeologicznych, językowych i heraldycznych, bądź z wymówkami za niepomieszczanie herbów, dziejów rodzin, życiorysów i rozmaitych wyrazów. Korespondenci zapominali, że w słowniku polskim istnieje do 300.000 wyrazów, że encyklopedja rzeczowa nie jest słownikiem i żeby miała zastąpić herbarze, słowniki i objąć dzieje kraju, rodów, ludzi i miast, to musiałaby liczyć nie 4, ale przynajmniej 40 tomów. Inne osoby przesyłały pieniądze, albo tylko polecenie na rozmaite sprawunki i wysyłkę tychże z Warszawy, prosiły o wybór książek lub pośrednictwo w sprzedaży i kupnie różnych zabytków, numizmatów, medali, mebli, starych ksiąg, lub żądały ofiarowania im Encyklopedji bezpłatnie, albo przyjęcia przesyłki pocztowej na koszt redakcji. Pewien Amerykanin pisał o wyśledzenie nazwiska ojca jego matki, który był Polakiem, ale opuściwszy kraj, przyjechał do Ameryki pod nazwiskiem angielskiem. Jako jedyną zaś wskazówkę do wyśledzenia prawdziwego nazwiska korespondent wskazywał fakt, że dziad jego przed samą swą śmiercią jeździł z Ameryki w r. 1851 na sejm do Warszawy?!“

Wspomina wreszcie autor o nieprzychylnej ocenie dzieła jego jednego z krytyków, który, aby dowieść, że biorąc się do starożytności polskich, „robię zamach nierozsądny, porywam się z motyką na słońce“ podniósł moje rzekome zasługi jako ziemianina i radcy Tow. kred. ziemsk., nic o tem nie wiedząc, że zasłużonym rolnikiem nie byłem ja, tylko mój ojciec... Nie mogę pojąć co może jakieś 30—40 sesji rocznie w Towarzystwie przeszkadzać w zajęciach naukowych człowiekowi, który tak ściśle liczył się z każdą chwilą czasu przez lat prawie 40, że jeszcze ani jednej godziny w życiu nie strwonił na rozrywkę — w karty — nie spędził ani dnia w podróżach za granicami Słowiańszczyzny, nie był ani razu na wyścigach, na balu publicznym, na maskaradzie, na majówce dla zabawy, któremu 5 godzin snu na dobę zawsze wystarcza“.

Przytoczyliśmy umyślnie przydługi może nieco ustęp ze sprawozdania p. Glogera, bo jest on bardzo charakterystyczny dla genezy samej „Encyklopedji staropolskiej“ a zarazem każdą krytykę, jakąkolwiekby ona była, sprowadza do właściwej miary. Usterki i niedokładności, aczkolwiek liczne i czasami ważne w samem dziele, maleją wobec tej olbrzymiej pracy i nakładu sił do minimalnych rozmiarów, a zostaje „Encyklopedja staropolska“ w której każdy znajdzie to, czego mu potrzeba i co go z przeszłości naszej najbardziej interesuje, zostaje dzieło dokładne wszechstronnie opracowane.... dzieło jednego człowieka! Trzy tysiące artykułów, ułożonych alfabetycznym porządkiem, a omawiających najróżnorodniejsze kwestje z dziedziny starożytności polskich, toż przecież dzieło, któremu się poczesne należy miejsce w literaturze naukowej, zwłaszcza tej na poły popularnej, przeznaczonej dla publiczności inteligentnej, która nie ma czasu ani sposobności na tego rodzaju specjalne studja. A jakie mnóstwo nowych, nieznanych szczegółów przynosi „Encyklopedja“, że wspomnimy tylko rzecz o śpiewnikach historycznych, ile nowych rycin i wyobrażeń rzeczy, które coraz bardziej niszczeją i giną! Zdarza się wprawdzie dość często, że tytuł artykułu nie odpowiada jego treści, jak naprzykład szumny napis „Polska w dobie Piastów“ nad paru skromnemi uwagami, ale spodziewać się należy, że w następnem wydaniu usterki te zostaną usunięte, podział zostanie ułożony na podstawie ściśle rzeczowej, a nie będzie obejmować w jednym artykule kilku kwestji ogólnych, których nikt pod właściwą literą nie znajdzie i że wreszcie wykazane będzie dokładnie pochodzenie rycin, choćby tylko dla odróżnienia rzeczy nowych od reprodukowanych już dawniej, gdzieindziej.

*Fr. Jaw.*

JAN ŚWIERK. 5)

# SALON MÓD.

## KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Ciocię zastałam jak zwykle przy igle. Małe okienko otwarte w pracowni nie wpuszczało do pokoju ani odrobiny powietrza odświeżonego. Wychodzi ono na ciasne, brzydkie, z czterech stron obudowane podwórko, z którego tylko dużo hałasu i dymu sąsiedniej piekarni wciska się.

Pięć panien zajętych od 8-mej rano do 12-tej w południe i od 1-szej do 8-mej wieczór, dość umęczy się w tej pracowni strojów modnych i pięknych, ale one chociaż tyle użyją ruchu i powietrza, ile idą do pracowni i wracają do domów. A biedna ciocia siedzi i siedzi, jak niewolnica, przykuta do igły — niewolnica biedna, której pracy nikt na godziny nie odmierza i na trud nie waży.

Mnie, przywykłej do wioski, wykołysanej wśród szmeru zbóż, śpiewu ptasząt, woni ziół polnych i lasów dębowych, taka ciasnota miasta, ulic i izdebki małej, wydaje się czemś tak wobec ludzi niepoczciwem i taką krzywdą straszną, iż chwilami poczynam myśleć, że te miasta całe, pracownie wielkie, tłumy zmęczone to chyba na najcięższe doświadczenia ludzkości zostały stworzone. Jak można żyć w niewoli ciągłej!... Robota jedna pali się w rękach, kilka innych już czeka, znów świeże przynoszą... to ma być na jutro rano, to na dziś jeszcze, prędzej a prędzej maszyna szyje, panny pracują, tamta przybiera stanik...

— I to nigdy nie ustanie? I to zawsze tak będzie? pytam znów ciocię, patrząc jak w pospiechu uwija się od „lalki“ do stołu, od stołu do maszyny.

— Źleby było, gdyby ustało, odpowiada znów ciocia jak zawsze.

— Czemuż ciocia chociaż nie urządzi pracowni w frontowym pokoju, tam dwa okna duże, widniej nieco, powietrze cokolwiek może lepsze wejdzie z ulicy, jak z tego podwórka ciasnego. Do saloniku gość przyjdzie na chwilę, na dwie i pójdzie. Gość ten, co wejdzie do salonu nie potrzebuje tyle wygody, on ma zapewne mieszkanie obszerne, powietrza mu nie brakuje, ma czas na przechadzki, wycieczki, nie zmęczony pracą, jak ty, cіociu moja. Pocóż gościom „salon“, a tobie taka najuboższa izdebka?

Ciocia upina na jedwabnej białej bluzce śliczne koronki — pochyla się czasem tak blizko, iż twarz jej prawie dotyka delikatnej materji i wtedy dopiero poznaję, jak ta twarz żółtą ma cerę, jak te oczy podsiniałe, zgaszone mają światło... Jakby w takiej bluzce strojnej biedna pracownica wyglądała — niby zwiędły kwiat, włożony w strojny manszet.

— Nie rozumiesz miasta, mówi ciocia, chwilami przyciszając głos. Firma znaczy wiele, a elegancja to najlepsza rekomendacja. Taka dama, któraby weszła do „salonu mód“, a zastała tylko pokoik mały i ciasny, zraziłaby się i drugi raz z robotą poszła tam, gdzie dużo zwierciadeł, gdzie ładne firanki, wygodne foteliki i miękki dywan. Nasze panie, dające robotę krawczyniom, zupełnie się nie interesują życiem naszem. Zaręczam ci, Jadwisiu, że ani jedna z tych, które tyle lat do mnie przychodzą, nie spytała mnie — czyli ja mam pracownię dobrą, wygodną. Ale zdarzyło mi się już kilka razy, iż wyrażały życzenie, abym się postarała o lokal efektowniejszy, z obszerniejszym widokiem.

A na to Józia, „staniczarka“, chorowita i blada, jak papier:

— U Paryzowej, gdzie przez trzy lata pracowałam, prawda, że miały panie wspaniały salon do mierzenia sukień i wybierania żurnali. Były trzy okna ogromne, balkon, było sześć zwierciadeł dużych. Płaciła też biedna Paryzowa bardzo wiele za ten salon, więc miała pracownię na poddaszu, w lecie gorąco, iż mało nie mdlałyśmy, w zimie zimno, że palce odmrażałyśmy.

A ciocia znów mi odpowiada:

— Przed kilku laty miałam ładne mieszkanie. I salonik był jasny, z widokiem na ogródek i pracownia duża, słoneczna. Nawet miałam wtedy kwiaty ładne, kwitły mi — tak lubiłam na nie spoglądać. Ale musiałam się wyprowadzić. O połowę mniej roboty było, bo za daleko zdawało się damom. Jedna też mi szczerze powiedziała: „Mnie nie wypada, abym na dalszych ulicach wchodziła do magazynów, jużby myślano, iż do drugorzędnej krawcowej chodzę“.

— Ależ to szkaradne samolubstwo miejskich pań, ależ one iskry współczucia nie mają...

— Moje dziecko!... ani możesz wyobrazić sobie, jak panie te traktują nas, jak wyniosłe są i pyszne wobec krawcowej, która schylona na kolanach mierzy długą suknię i upina szpilkami materję przy ziemi...

Westchnęła ciocia... a za nią jakby echem cichem powtórzyło się kilka westchnień panienek, pochylonych nad igłą.

Więc prawdą jest założenie prywatnego seminarjum. W dzisiejszej „Zorzy“ wydrukowano o tem. Kuzynek powiada, iż idzie o to, aby pierwszy rok przejść, a na drugi rok łatwiej przyjmą, bo już nie będzie przepełnienia.

— Jedne powychodzą za mąż, innym sprzykrzy się nauka, a tak ubędzie trochę z tych, które się teraz cisnęły gwałtownie, więc wtedy może się kilka pań dostać na drugi kurs.

— Dobrze to, mój Jerzy, odzywa się ciocia, ale ileż to trzeba płacić za naukę, bo nie łatwa rzecz zapisać Jadwinię, a potem...

— Cioteczko! przerwałam żywo... chociażby i dużo trzeba płacić, to się nie cofnę, nie zlęknę... muszę się uczyć, muszę chodzić do seminarjum.

— Wiem, iż pragniesz być nauczycielką, ale czy ojciec twój zdoła płacić?

— Nie wezmę od ojczulka ani centa więcej, na opłatę seminarjum sama sobie zapracuję.

A wujcio na to w śmiech...

Ten śmiech wujcia zawsze mię drażni, przestrasza nawet, zdaje mi się, że to śmiech bardzo złego człowieka. Nie mam wyobrażenia, czem właściwie wujcio mię odpycha od siebie, dlaczego ja go nie lubię, okropnie nie lubię... ale to wiem, że gdy się począł śmiać tak złośliwie na moje zapowiedzenie pracy, spojrzałam na niego, jak na potwora.

— Cha! cha! widzicie ją!... znów jedna kandydatka do zarobku — a jaka pewna, że ona zapracuje... Mało już mężczyzn w mieście jest bez pracy, dlatego, iż panny poodbierały im roboty, jeszcze ona będzie się cisnęła...

— Dajże pokój, prosi ciocia, już Jadwinia wam wiele nie zabierze, niema zresztą o czem mówić, kto wie, czy znajdzie pracę...

Kuzynek Jerzy stanął także w mojej obronie i przyznam się szczerze, w chwili tej spojrzałam na niego pierwszy raz jakoś życzliwiej, jakby z wdzięcznością, iż nie zazdrości mi tych kilku groszy, które pragnę zdobyć na opłatę nauki. Na szczęście opłata nie będzie zbyt wysoka, tylko 10 zł. miesięcznie... za 10 miesięcy — setka. — Boże!... zawołałam z trwogą... setkę całą muszę zapracować i zapłacić za to, aby nauczyć się tego, czego tyle innych panien za darmo się nauczy!?..

— Taka sprawiedliwość — mruknął wuj, ubierając się w palto.

Za chwilę wyszedł.

Gdzie on chodzi? co on robi?... nie mogę pojąć. Pytać nie chcę, widzę tylko, iż gdy wychodzi, ciocia spogląda na niego z żalem pełnym smutku.

---

Ot i miesiąc minął od tej pory, jak przyjechałam do miasta.

Co za życie!... Myślę czasami, że mię jakaś wielka machina chwyciła zębami swego koła i rzuca mną i obraca i kręci, a ja ani się już z niej wydostać nie mogę, ani spocząć nie zdołam, chyba aż tam — w wiosce cichej, w której ludzie pracują i żyją, czują i cierpią, ale inaczej, inaczej.

Do prywatnego seminarjum chodzi nas 32. Sześć tylko z miasta. Inne wszystkie ze wsi lub miasteczek dalekich i wszystkie mają ciężkie warunki. Najbiedniejsza Emcia, chorowita, sierota... matka jej tylko piątkę obiecała przysyłać. Wynajęły obie z Kazią izdebkę u furmana hrabiny X... Płacą za nią 5 zł. na miesiąc. Na wikt składają się wspólnie, ale nie wiem, czy one długo przy takim wikcie wytrwają. Herbata i chleb! Najgorsze jeszcze to, iż mieszkanie mają wilgotne i muszą wchodzić przez mieszkanie furmana, u którego często bywają goście, lokaj z pierwszego piętra, woźny z drugiej kamienicy i jacyś inni. Ci upijają się, śpiewają, w karty grają, a biedna żona furmana z dziećmi wciska się do izdebki Kazi i tam tuli się nieraz do rana.

Gdy dzisiaj byłam u nich i słyszałam śpiewy pijanych i musiałam przez mieszkanie to pełne dymu i zapachu wódki przechodzić, zdawało mi się, że nie mogę w żaden sposób zezwolić, aby one na zimę tu zostały, że powinnam szukać jakiejś pomocy dla biednych koleżanek.

Ale jakże tu pomódz im, kiedy ja sama jestem w najprzykrzejszem położeniu.

Na opłatę za pierwszy miesiąc pożyczyła dla mnie ciocia u żyda. Na pierwszego muszę oddać i mam zapłacić za drugi miesiąc.

Gdzież zarobek?

Do tej pory nie znalazłam nic.

Jedyny ratunek będzie, gdy na oddanie długu zastawię zegareczek, który mi mama na wyjezdnem darowała. Cenna pamiątka, ślubny podarek ojczusia. Ciocia mówi, iż są tu zakłady, które wezmą w zastaw rzecz jakąś wartościową, i to nie przepadnie, co bardzo dobrze, bo w nagłej potrzebie pomoc przynosi. Ale co potem, co dalej, już nie wiem.

Nasi profesorowie robią szlachetne wrażenie.

Ja pierwszy raz słyszę ludzi tak płynnie, tak pięknie mówiących. Nie uczęszczałam nigdy do szkół, nie wiedziałam, jak to ułatwia naukę dobry wykład. O!.. szczęśliwi ci, którzy mogą się uczyć i mają wszystkie zakłady naukowe w miejscu!.. Ileż oni mogą wiedzy zdobyć! Jakże łatwo im kształcić się i kształcić coraz dalej.

Ale nam biednym, które za wszystko musimy płacić groszem, ciężko zapracowanym, nauka ta, zdaje się powinna być choć o tyle ułatwiona, abyśmy za jej udzielanie nie potrzebowały płacić!..

---

Zdarzyło się właśnie, iż ubyła cioci jedna panienka z pracowni. Dostała miejsce panny do szycia w jakimś dworze na wsi, więc wyjeżdża. Gdym się o tem dowiedziała, proszę ciocię, aby mię na jej miejsce wzięła.

— Na miejsce Karolci?... Ależ ty nie masz czasu, od 8-mej do 1-szej w szkole — potem musisz uczyć się sama.

— Cioteczko, nocami będę siedziała razem z tobą, wiem, iż pracujesz zwykle do 1-szej do 2-giej w nocy, więc ja będę tak pracowała. Nie jestem jeszcze tak wprawiona w szyciu jak Karolcia, ale umiem szyć, bo w domu całą rodzinę sama obszywałam.

— Przy nauce mozolnej, przy umysłowej pracy, nie da się pogodzić siedzenie nocami, zachorujesz, nie wytrwasz.

— Moja droga cioteczko! Weź mię na próbę, na miesiąc, jeśli obaczysz, iż moja praca nie będzie warta, powiesz mi to szczerze, bez żadnej ceremonji... Widzisz, cioteczko, jaka ja biedna, jak ja muszę przez ten rok przeborykać się z twardym losem, abym potem mogła dostać się do seminarjum.

Więc się ciocia zgodziła. Karolcia brała 8 zł. miesięcznie. Ja może tyle dostanę, jeśli okażę w szyciu szybkość. Wielkie to będzie dla mnie szczęście, gdy zdołam zarobić tyle na miesiąc.

Gdy zabrałam się nazajutrz po południu do szycia, panny spoglądały na mnie jakby z niechęcią, te same, które przedtem życzliwie zawsze do mnie przemawiały, teraz zaczęły odzywać się gniewnie. Domyślam się, iż gniewają się za to, iż wciskam się w ich zarobek. Gdyby jednak one wiedziały, dlaczego to robię, możeby przebaczyły mi.

Wuj Olski, ujrzawszy mię przy szyciu, burknął z niecierpliwością:

— Na tem dorobisz się głodu i suchot.

Co to, to prawda, pomyślałam w duchu. Widzę pracę cioci; ciągła, nieustająca, bez wytchnienia, a czegoż się dorobiła? C. d. n.

FELIKS GWIŹDŹ.

# GRAJ...

Pannie E. Ł.

*Graj...*
*Niech senna melodja płynie*
*Przez pola, przez ugory,*
*Niechaj jej wtórzą szumne bory — —*
*Graj...*
*Niech cicha melodja płacze*
*Nad dolą naszą i niedolą —*
*Graj...*
*Wygraj życie to tułacze*
*I rany, które bolą:*
*Niech senna melodja płynie*
*Przez pola, przez ugory,*
*Niechaj jej wtórzą szumne bory — —*

— — — — — — — — — — —

*Uderzyłaś mocno w arfy struny*
*I tak dziwnie jakoś zadźwięczały,*
*Że się twarde poruszyły skały,*
*Że na skrajach pociemniały łuny.*
*Uderzyłaś mocno w arfy struny*
*I zbaczyłaś mi sen mój przeklęty — —*
*Graj!...*

— — — — — — — — — — —

*Słodko już melodja płynie —*
*Dalekaś mi i razem tak bliska...*
*Chciałbym tonąć w twych oczach — głębinie...*
*Dalekaś mi i razem tak bliska...*
*Ból mnie chwyta za serce i ściska —*
*Chciałbym tonąć w twych oczach — głębinie...*
*Dalekaś mi i razem tak bliska...*

— — — — — — — — — — —

*Graj...*
*Niech senna melodja płynie*
*Przez pola, przez ugory,*
*Niechaj jej wtórzą szumne bory — —*
*Graj...*

Zakopane 1904.

AUGUST STRINDBERG.

# Pół arkusza papieru.

(BAJKA).

Ostatni wóz meblowy odszedł — lokator, młody człowiek, z żałobną krepą na kapeluszu, przeszedł się raz jeszcze po mieszkaniu, aby zobaczyć, czy czego nie zapomniał. Nie — nie zapomniał niczego, absolutnie niczego; i tak wyszedł za próg z mocnem postanowieniem, że nigdy już nie będzie myślał o tem, co przeżył w tem mieszkaniu. Ale patrzy, w przedpokoju, obok telefonu wisi przybita gwoździami połowa arkusza papieru, zapisanego różnym charakterem pisma, gdzieniegdzie porządnie atramentem, to znowu ołówkiem, albo czerwoną kredką posmarowany. Otóż i ona.... ta cała piękna historja, która rozegrała się niedawno, przed dwoma laty, wszystko, o czem chciał zapomnieć, stanęło mu jasno przed oczyma: kawał życia spory — na pół arkuszu papieru.

Zdjął papier ze ściany. Był to żółtawy, prześwietlający papier konceptowy. Położył go na żelaznej płaszczyźnie kuchni, pochylił się i czytał. Najpierw widniało jej imię: „Alicja“. Imię najpiękniejsze, jakie znał wówczas, bo nosiła je narzeczona jego. A obok cyfry 151, 1. Wyglądały one jakoś tajemniczo i kabalistycznie. Pod spodem napis „Bank“. Była to jego praca, święta praca, która mu dawała chleb, dom i żonę; podstawę istnienia. Ale napis był przekreślony! Albowiem bank zbankrutował, ale on schronił się do innego banku, jednakże po krótkim czasie wielkiego niepokoju.

Potem następowało: „sklepy z kwiatami“ i „doróżki“. Były to zaślubiny, — gdy miał pełną kieszeń pieniędzy.

Potem: „Handlarz mebli“, „tapicer“. Urządza pomieszkanie. „Biuro ekspresowe“ — sprowadzają się.

Wydatki na operę 50, 50. — Są nowożeńcami i chodzą co niedzielę na operę. Są tu ich najpiękniejsze godziny, kiedy sami siedzą cicho, przeniesieni duchem w drugą stronę kurtyny, w kraj baśni, piękna i harmonji.

Następuje imię męskie, przekreślone. Był tu przyjaciel, który uzyskał pewne stanowisko w społeczeństwie, nie umiał jednak znieść szczęścia, lecz upadł bez ratunku i musiał daleko wyjechać. — Tak to fortuna kołem się toczy.

Tutaj nastąpiło zdaje się coś nowego w życiu małżonków. — Pismo kobiece i ołówkiem: „pani“. — Jaka pani? Aha — ta w wielkim płaszczu, co tak cicho przychodzi i nigdy nie przejdzie przez salon, ale przez korytarz kieruje się w stronę sypialni. —

Pod spodem, pod jej nazwiskiem stoi „dr. L.“

Poraz pierwszy wypływa tu imię jednego z krewnych. — Napisane jest „mama“. — To teściowa, która się dyskretnie usunęła na stronę, aby nowożeńcom nie przeszkadzać, teraz jednak w chwili potrzeby została przywołana i przychodzi z radością, bo jej potrzebują.

Potem znowu wielka bazgranina niebieskim i czerwonym ołówkiem. Biuro pośrednictwa: służąca odeszła, lub też ma przyjść nowa.

Apteka. Hm. Poczyna się ściemniać! „Towarzystwo folwarczne“ — kupuje się mleko sterylizowane.

Kupiec, rzeźnik etc! Gospodarstwo zaczyna być prowadzone przez telefon; a więc pani domu nie jest na swojem miejscu. — Nie — ona leży w łóżku.

Następnych wierszy nie mógł już czytać, bo mu zaczynało się mroczyć przed oczyma, tak samo jak się mroczyć musi tonącemu, gdy patrzy przez warstwę wody nad sobą. Ale odczytał napis: „Zakład pogrzebowy“.

To mówi samo za siebie. — Mała i większa naturalnie trumna.

Potem nie było już ani litery. Na trumnie skończyło się wszystko i kończy się zwykle.

On jednak złożył pół arkusza papieru, ucałował go i schował do kieszeni na piersiach.

W dwu minutach przeżył dwa lata swojego życia. —

Ale nie był zgarbiony, gdy wychodził, owszem niósł głowę wysoko, jak człowiek szczęśliwy i dumny, bo czuł, że posiadał w życiu swojem to, co może być najpiękniejszego. Jak wielu jest biednych, którzy tego nigdy nie posiadali!

# Wiliam Ewart Gladstone

według Morley'a.

(Life of W. E. Gladstone. 1903 — 3 tomy.)

IV.

Płodną była praca Gladstone'a na niwie politycznej, ale też rzadko spotykamy taki ogrom wysiłków, jakie ten mąż stanu przyniósł w ofierze swemu krajowi. Pełen poczucia obowiązku i odpowiedzialności Gladstone, gdy był u steru spraw krajowych, pracował często 12—16 godzin dziennie. I nawet wtedy znajdywał on czas szukać ukojenia troski w Homerze lub Dantem, tych jego ulubionych autorach. Gdy duch był zmęczony, odbywał długie przechadzki piesze, podziwiając naturę tak samo, jak umiłował sprawiedliwość w życiu społecznem.

Ale pracowitość nie była jedyną siłą Gladstone'a. Jako mówca był on niezrównanym. Jego mowy budżetowe, trwające nieraz po 2—4 godziny, przykuwały uwagę słuchaczy do niezliczonych cyfr i faktów; jasnym i logicznym był wtedy Gladstone. Natomiast umiał on wznieść się do poziomu niezwykłego, gdy stawał w obronie człowieczeństwa, dążącego do prawdy i słuszności. Jego mowy o reformie politycznej, jego mowy o Irlandji, jego nawoływania do obrony Słowian południowych elektryzowały masy angielskie. Weźmy te ostatnie mowy: niemi podbił on kraj i obalił Beaconsfielda, pomimo, że ten ostatni wrócił dopiero co z kongresu berlińskiego tryumfatorem.

Przeciwnicy polityczni nazywali często Gladstone'a „agitatorem“. Carlyle widział w nim złego ducha Anglji, bo sam nieraz po stronie siły brutalnej stawał. Ruskin przez długi czas widział w Gladstonie „szatana“, działającego przeciw anglikanizmowi; dopiero, gdy Ruskin został wolnomyślnym, umiał on bezstronnie oceniać wielkie przymioty charakteru wodza liberalizmu angielskiego.

W życiu prywatnem Gladstone miał pewną suchość. Przedewszystkiem lubił on samotność, bo potrzebował być często z samym sobą. Znał on wesołość towarzyską i nieraz czarował swych współbiesiadników, — ale dalekim był od wylewów, które jednają ludzi i budzą uczucia partyjne, stronne wprawdzie, ale pełne oddania. Gladstone miał przeszło siedmdziesięciu towarzyszów jako minister, ale nie wielu z nich mógł on zaliczyć do swych przyjaciół serdecznych.

Idealista z natury i temperamentu, utopista w swej wierze o kościele uniwersalnym jako moralnem łożysku życia społecznego, Gladstone był mistrzem w sztuce oportunizmu politycznego. Zarzucano mu nieraz hypokryzję, ale w istocie było w nim głębokie poczucie odpowiedzialności, by nie narazić sprawy, której stał się szermierzem i ochmistrzem. Gdy szło mu o zasadę, to od niej nie odstępował i wolał narazić się na porażkę, niż obrazić ideę sprawiedliwości.

Zresztą był on istnym „gminnikiem“ (tj. z izby gmin) i, jakkolwiek pełen szacunku dla autorytetu i tradycji, czuł on w sobie zbyt wiele godności, by zrzec się swej roli w społeczeństwie i przejść do szeregów „uszlachconych“ tytułami. Królowej odmówił przyjęcia tytułu i pozostał Gladstonem z izby niższej. Nawet do grobowców w Westminstrze nie chciał zejść sam; w testamencie zastrzegł się, iż chce być pochowanym tam, gdzie żona jego spoczywać będzie. Parlament wskutek tego postanowił, by wdowie, pozostałej po wielkim gminniku, zapewnić miejsce spoczynku wiecznego w probostwie westminsterskiem.

Również i w życiu został on wiernym tradycjom starego domu mieszczańskiego, jakkolwiek początki rodziny jego należą do dziejów klanów szkockich, do dziejów własności ziemskiej. Gladstone był w Anglji pierwszym mieszczaninem, który doszedł do takiej potęgi i władzy i mieszczaninem też został aż do końca życia.

Zachował on nadto ten mieszczański charakter w swym stosunku do królowej Wiktorji. Nie ma w nim ani dworskości, ani też uniżoności, ale głęboki szacunek dla osoby, która uosabia narodowe urządzenia polityczne. Z początku królowa odnosiła się do Gladstone'a z wielką serdecznością. Z czasem wszakże powstają nieporozumienia między „dobrą wdową“ a naczelnikiem rządu. Nieporozumienia te wywołane zostały głównie stosunkiem do Irlandji i tem, że Gladstone odebrał rodzinie królewskiej główne dowództwo nad armją. Nieporozumienia miały w następstwie intrygi i królowa miała łatwy wpływ na izbę lordów. Wreszcie gdy starzec usunął się z widowni politycznej, oziębłość „starej wdowy“ z Windsoru była nawet widoczną. Co więcej: wbrew woli Gladstone'a, który na następcę swego wymienił lorda Spencera, królowa powołała lorda Roseberry'ego na premiera, co odrazu wywołało niesnaski w obozie liberalnym. Nieporozumienia te nie były znane narodowi, co zresztą było szczęściem dla stronnictwa liberalnego, gdyż masy stanęłyby po stronie Windsoru. Jednem słowem rzeczpospolita nie jest czczem słowem.

Jeżeli Gladstone poddał się sam „autorytetowi urządzeń krajowych“ i tem jako postać wyniosła razi nas jakby bałwochwalstwem, to z drugiej strony trzeba przyznać, iż dzięki temu uczuciu karności, tkwiącemu w narodzie, Gladstone mógł się utrzymać tak długo, choć nieraz wyprzedzał opinję publiczną swego kraju.

Śmierć jego była dla kraju jak grom z nieba spadły, jakkolwiek wydarzenie to nie zaskoczyło nikogo, bo było oczekiwanem. Naród przyjął wiadomość, jak się przyjmuje wielkie zjawiska naturalne, do których poprzedzające zdarzenia przygotowały umysły. Naród stanął przed zwłokami jak przed majestatem tajemniczym. Masy ludowe nie miały dla zmarłego tej serdeczności, z którą odnosiły się do „Dizzy'ego (przezwisko Beacomfielda). Dizzy, pomimo swego toryzmu, był dzieckiem wieku, był współczesnym z umysłu swego, podczas gdy Gladstone w akcji wyprzedzał swe pokolenie, ale myślą stał w tyle. Wreszcie Gladstone miał wiarę: demokracja angielska lubi dozę demogogji, kuglarstwa, lubi pozę, której Gladstone nie miał.

Pozostały atoli czyny gladstonowskie, które z każdym dniem olśniewają nas więcej. Stanowią one pomnik tak kolosalnych rozmiarów, jakiego posiadać nie może żaden inny mąż stanu Anglji XIX. wieku.

*Sygma.*

# Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Dziesiąty tom prowadzonego przez Akademię umiejętności w Krakowie wydawnictwa p. t. „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce,“ który niedawno opuścił prasy drukarskie, zawiera cały szereg oryginalnych aktów i dokumentów, stanowiących bardzo ważne przyczynki do dziejów oświaty w Polsce. Dwa z nich zwracają szczególniejszą uwagę, a to wydane przez dra Antoniego Karbowiaka „Wizyta szkół gimnazjalnych w czterech nowych departamentach Księstwa Warszawskiego z r. 1810“ i przez J. Twardowskiego wydana „Józefa Twardowskiego Wizyta generalna szkół i zakładów edukacyjnych w gubernji mińskiej, odbyta w r. 1819.“ Wizyta owa obejmuje na 300 stronicach druku dokładne relacje o ówczesnym stanie szkolnictwa w gubernji mińskiej. Oprócz materjałów, wydane tu zostały dwie oryginalne rozprawy a mianowicie dr. Rudolfa Abichta „Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego“ i dra. Z. Celichowskiego „Polskie indeksy książek zakazanych“.

*Wysocki* Godziemba Antoni. — Nowele. (Narodziny upiora — Dusza w kajdanach. — Słońce). P. Antoni Wysocki nie jest nowicjuszem w literaturze belletrystycznej. W powieściach swoich porusza zawsze temata silne, bardzo oryginalne, potrącające o zawikłane kolizje życiowe. Kto wie, czy najgłębszą rzeczą młodego pisarza, nie jest „Dom warjatów“ cały szereg szkicowo, nerwowo — ale z wielkiem odczuciem skomponowanych obrazków, odsłaniających bezmiar tragedji i męki istnień, które żywcem zamurowane w szpitalu, zostawiły za jego murami szarpania i wątpliwości, — a z sobą wzięły obłęd i pasowanie się z widmami własnych urojeń. I najnowszy zbiorek, — to pasmo koniecznego znęcania się nad swoją dumą, to ciągła walka o coś, czego już nie ma, albo czego mieć nie można, — to torturowanie się i wieczne pożądanie. Ludzie p. Wysockiego należą do tego gatunku rozkładowców, którzy nawet po zaspokojeniu wszystkich pożądań, wymyśliliby sobie jakieś nadzwyczajne, aby się dać porwać wirowi niepokoju i rozstroju. W „Narodzinach upiora“ buntuje się urzędniczyna kolejowy rzucony na pustynną, odległą, za górami i rzekami stację — przeciw swej niedoli, przeciw odcięciu od świata i skazaniu na najmarniejszą niewolę... zjadacza chleba. Przesuwające się przez peron pociągi niosą mu świeży powiew kultury i zapełniają jego mózg setkami refleksji, z migawkową szybkością zjawiających się i znikających. W końcu zawita do niego i ukochana kobieta — ale przerażona tem, co na okół widzi znika, jak sen jaki złoty, i zostawia biedaka jeszcze w straszniejszej pomroce i w straszniejszych rozterkach. Także szewc Bazyka z „Duszy w kajdanach“ — podobnie jak ów kolejarz, — nie buduje, nie pojmuje istnienia realnie — ale fermentuje siebie, jest naturą czysto negacyjną, analitykiem idącym przez pesymizm w przepaście i ostateczne otchłanie. On stracił na swem podstryszu wszystko, — do czego biło serce: żonę i dwoje dzieci, — a te trzy trumny, tych trzy par rąk w małżyk złożonych bujają ciągle przed nim w powietrzu, odrywają go od pracy, od wszelkiego chcenia i możności pamięci o jutrze. Wreszcie postanawia odejść do swoich... W chwili, gdy czuje przed sobą zimny nurt, — spostrzega jakieś stworzenie, zabłąkanego przypadkiem kociaka, który wpadł w wodę i wydobywszy się z niej — otrząsa się na brzegu. Stworzonko się doń łasi, — biedny Chruściak odczuwa trochę przywiązania, trochę ciepła i to go powstrzymuje od desperackiego kroku. W „Słońcu“, pastelowy obrazek sceniczny w 2 odsłonach jest jakby romantycznym hymnem na część przyrody i stanów duszy, ulegającej jej wpływom. Grano tę drobnostkę nie tak dawno temu w Krakowie — z dość znacznem powodzeniem. Styl autora zawsze bardzo czysty i ładny, obfituje w świeże i ze względu na koloryt nowel dobrze dobrane zwroty.

---

NOTATKI. *Najstarsze pismo polskie.* „Gazeta Warszawska“ rozpoczęła z nowym rokiem setny trzydziesty pierwszy rok istnienia. Obecnym jej redaktorem i wydawcą jest p. Stanisław Lesznowski.

*Wystawa minjatur.* W Warszawie zaprojektowano urządzenie wystawy miniatur malowanych na pergaminie i kości słoniowej, znajdujących się w zbiorach prywatnych.

*Humor na scenach niemieckich.* W sejmie bawarskim jak donosiły niedawno pisma codzienne, toczoną była zasadnicza rozprawa w sprawie konfiskaty czasopisma humorystycznego *„Simplicissimus“*, który od lat całych drwi bezkarnie z cesarza Wilhelma i to tak, że całe Niemcy śmieją się do rozpuku. Drwiny te i satyryczne, żarty przybrane są w formę rozmówek między *„Serenissimusem“* a jego adlatusem „Kindermanem“. Obecnie jeden z berlińskich teatrów wprowadził „Serenissimusa“ razem z Kindermanem na scenę, a właściwie do widowni i każe im w międzyaktach bawić publiczność. Obaj aktorowie ubrani ściśle według wzoru z pisma humorystycznego zasiadają w loży i gdy kurtyna zapadnie prowadzą rozmówki głośne, które audytorjum przyjmuje wybuchami wesołości, zwłaszcza gdy mieszczą w sobie aluzje do współczesnych wypadków.

Doskonałą jest naprzykład aluzja do cesarza Wilhelma, gdy *„Serenissimus“* zamawia u poety poemat, mówiąc:

— To napisz pan co. Zamawiam u pana poemat: Może tam być dużo o *miłości*, a kończyć się musi *capstrzykiem.*

Gdy zaś na pytanie co nastąpi, po zapadnięciu kurtyny, odpowiada Kinderman, że pauza — Serenissimus nie rozumie i pyta:

— Pauza? a kto to napisał?

— Tego nikt nie napisał wasza wysokość. — Taka pauza, ot.... pauza tera: nic nie ma.... nic nie będzie.

— No.... et.... tak. Nie zrozumiałem w pierwszej chwili, bo to cudzoziemskie słowo. Skąd się tu wzięło? W mojem państwie nie wolno używać obcych wyrazów. Natychmiast odesłać do *biura tłumaczeń.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.